№ 26.

Warszawa, dnia 25 Czerwca 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.——Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

Od Redakcji.

Z ostatnim dniem Czerwca kończy się prenumerata na piérwsze półrocze Tygodnika Mód, upraszamy przeto Szanownych Prenumeratorów, aby zapisy na drugie półrocze raczyli wcześnie uskuteczniać, jeżeli w odbiorze pragną uniknąć opóźnienia.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama.

Po ukończeniu powieści Jan Halifax, rozpoczniemy natychmiast powieść J. I. Kraszewskiego pod tytułem: *Na cmentarzu, na wulkanie.*

Przy przesyłaniu pieniędzy czy na prenumeratę czy na sprawunki, upraszamy o wyraźne wypisywanie w każdym liście dokładnego adresu, bo od tego zależy pewność dojścia przesyłki do właściwego miejsca.

WYJĄTKI ZE WSPOMNIEŃ W. G.

WIARUS NA PIWIE—PRZECHWAŁKI—PARADA, GRENADJER CZYLI UŁAN?

(Dalszy ciąg)

Na dole w tym domu gdzie stanąłem, była piwiarnia, gdzie wyborne piwo warszawskie spijano, a przytém grano w karty, w bilard i inne gry. Tam wieczorem schodziło się pełno wojskowych z różnych pułków, gdy się więc dowiedzieli, że jestem aspirant do wojska, ale nie mam nikogo aby mnie oświecił, jak sobie mam w tem poradzić, wzięli mnie między siebie, kontenci z podobnéj gratki, bo najprzód że ja piwo tundowałem a oni pili, a powtóre że każdy swój pułk wychwalał i do

niego mnie namawiał a ja słuchał. I tak, ułani ku którym już zdawna me serce się skłaniało, też same mi powtarzali zalety co Wasilewski, ale mnie to trochę dziwiło, że ich tam nie widywałem w owym paradnym ubiorze, w jakich on codzień się po ulicach Krakowa pokazywał, lecz w kurtkach i rajtuzach skórą podbitych, od których o sto kroków pot koński niemiłosiernie zalatywał. Trzeba zaś wiedzieć, że ci wszyscy, których tam widywałem, nie byli to oficerowie, ale podoficerowie i kadeci.

Tu piechur z gwardji grenadjerów z wysokiem na kaszkiecie piórem zaleca się mi i ręczy, że za lat trzy będę oficerem, a chwaląc mój piękny wzrost i figurę, bierze na siebie że będę przedstawiony jenerałowi gwardji.

Daléj sapery, artylerzyści konni i piesi, ale na tych nie wiele zważałem. Nad wszystkich jednak głośniéj i śmieléj wystąpił, przystrojony, z ogromnemi wąsami, a prosty jak świeca, sierżant z czwartego pułku linjowego i tak do mnie jak do obecnych przemówił.

— „Co tam mosanie! bo nie wiem jak uczcić, pewnie akademik? albo od jakiego dworu? Ale mniejsza o to, kiedy chcesz być kolegą, to choć jeszcze jesteś *faldą* (czyli cywilnym) mospanie poradzić ci należy szczerze.

Otóż słuchaj mnie bom nie rekrut, znam służbę swą na palcach, znam także służbę i innéj broni, bo każden swoje chwali jak może. No! bo tak powinien do licha! to żołnierska sztuka. Choćbyś trzy dni nie jadł, kłuj zęby i minę miéj od miljon djabłów! Zresztą pokpiwaj na lewo, a na prawo mrugaj. Ale co prawda to nie grzech! Co to wy koledzy, macie wy sumienie takiego dzieciaka do konnicy namawiać? Cóż to, czy ja nieznam waszéj rozkoszy czy co, hę? Szkapę chędoż, na sznurwachu stajnie zamiataj, noś na plecach po półkorca owsa albo centnarze siana, ciąg wodę, czyść rzemienie i żelaziwo, a jak dostanie remontę, bestję narowną, co sobie w zęby nie da zajrzyć, a tu mu każą uszy, chrapy i pęciny wystrzydz, wtedy kłaniaj się kolegom, aby go pomagali pokładać, wiązać i strzydz. A to jeszcze nic, ale jak cię wezmą na ujeżdżalnią a tam instruktor co chwila, dwa razy harapem w jeźdzca a raz w konia, raz konia a raz jeźdzca, to miljon kroć! aż świerszczki w oczach stają. A w marszach za byle co, nieś za karę cały pakunek na plecach, a konia prowadź z milę za sobą po mazowieckich piaskach, lub bagnach podlaskich; albo wpakują na ciebie piętnaście lanc i stój pod niemi godzinę. Oj! kością ci w gardle wtenczas stanie kawalerzysty życie, więcéj fumu, szumu jak korzyści. Nie masz to jak piechur mosanie! cały majątek na plecach; zawsze wesół, lekki, o nic się nie troszczy, tylko o to, aby miał pełno w manierce, karabin czysty i parę skałek w zapasie. Przyjdzie z marszu na kwaterę, karabin w kąt, ciele na kołek i dalejże do miski, albo do.... ale młodzikowi do tego jeszcze wara! Potém śpi sobie dopóki na apel nie zabębnią, gdy tymczasem biedny kawalerzysta trzy godzin dłużéj, a trzy godzin wcześniéj pracuje, szoruje, myje, czesze, karmi i poi swoją szkapę, gagatka! Sam zaś głodnego śpiewa Tadeusza.

— „O! zapewne” przerwał stary wachmistrz od ułanów, czesze, myje i pieści jak dziecko, to prawda, bo koń dobry, to dusza i zdrowie kawalerzysty, to jego cały skarb. Spisz, spisz! do miski! bufonada! djabła ci tam jadło smakuje, jak się złazisz, zmokniesz, po kolana się zabłocisz jak wyżeł za kaczkami, a nadźwigasz się jak muł. Jużcić legniesz to prawda, i leżysz jak kłoda, bo nóg nie czujesz; a skoro dzień, jeszcze ci buty nie wyschły, obuwaj się, cielę na plecy i marsz! O! mój bracie odbyłem ja kampanją, to się dosyć napatrzyłem téj rozkoszy piechurskiéj. Póki pogoda, póki chłodno, póki sprawa się wiedzie, to idzie jako tako: ale niechno przyjdą upały albo pluty, a do tego jaka porażka, rejterada, ciągłe marsze, toż to mój Boże! sercu żal się na was patrzéć. Zabłoceni, zakasane poły od płaszczów, brną i wleką się jak dziady. A kiedy przyjdzie prawdziwy strach i na piechotę w rozsypce konnica naciera, kłuje i rąbie, o! wtedy kto w Boga wierzy, ciele i karabin o ziemię i w nogach cała nadzieja. Oj! djabłu byś wtedy mój bracie duszę zaprzedał, byleś w owéj strasznéj chwili, mógł nie tylko szkapy, ale i osła gdzie się dorwać. Dlatego też kto maruder, jeżeli nie piechur? Może nie prawda? co? A ja sobie pan. Słota, płaszczem się zawinę, fajkę w zęby i niech sobie tam leje choćby i siarczysty! Pogoń, to hurra! lanca w pół ucha końskiego i naprzód z kopyta! Rejterada albo trwoga, to łydki i szpory w boki i hajda! A choć się i ucieka, to zawsze z jakąś godnością mosanie i pewną dumą.”

— „No, no, dajże już wachmistrzu pokój z tą dumą i godnością, bo ucieczka zawsze ucieczką. Do tego zdaje mi się, że czy na koniu, czy piechotą, wtedy człek nie bardzo się panoszy jak drapaka daje. Ale kiedy go już tak straszysz marszami, to niech idzie do nas do czwartego linjowego. Oto pułk ulubiony i sławny w całéj armji...

— „Zwłaszcza na Pociejowie” obruknął wachmistrz pokręcając wąsa. Wszak skoro się tam czwartak pokaże, to żydy sklepy zamykają, na

gwałt krzycząc: aj waj herste! co za kipiec! Czwarty numer na guziku, a biały łatkes na ramieniu. Och! herste, mach zu! macht zu! I mają żydziska słuszność, bo podobno już nie jeden raz zbyli towar bez pieniędzy czwartakom, skoro ci w swoich płaszczach na ramionach, przeszli się z niechcenia koło kramów.

— „No nie ma co mówić, że zręczne wiarusy— wtrącił sierżant, i to jakby zmówił pchają się z tym talentem do naszego pułku. Ale za to, któryż inny pułk z taką postawą przedefiluje po Saskim placu? Któryż tak bronią robi? Z którego pułku tęższe posyłki meldują się na pokojach? Któryż dostarcza rok rocznie instruktorów do całéj prawie armji? Że kradną, no to i słońce ma plamy, ale za to co żołnierz to żołnierz całą gębą, jeden w drugiego. No mój paniczu mam nadzieję żem cię przekonał, jużeś nasz!

Gdym się na odpowiedź zbierał przerwał jakiś kadet czy podoficer od gwardji grenadjerów:

— „Nic z tego, on się nam na nic nie zda. Sam dopiéro kolego mówiłeś że co się do was dostanie to z talentem... rozumiesz mnie? Temu młodzikowi poczciwość z oczów jak u dziewczyny patrzy, szkoda go zatém do was, on granadjerem będzie, to jest właśnie miejsce dla szlacheckiego dziecka. Gwardja z Warszawy nie wychodzi nigdy, a niechno się spodoba W. Księciu, jak padnie na humor, może go do szkoły od razu posłać, albo i podchorążym zrobić. Alboż to nie zdarzyło się nieraz?

— „Moi panowie odezwałem się na to, dziś wam nic stanowczo odpowiedzieć nie potrafię, ale jutro radbym się przypatrzéć paradzie na Saskim placu, to będę uważać który pułk piękniéj się wydaje i jakoś zastanowię się. Może być że dostanę natchnienie jak zdecydować się. Tylko nie wiem czy trafię na Saski plac w godzinę saméj parady?

— „Ja jutro nie idę na defil” odezwał się grenadjer „to po ciebie mój pyszny kolego przyjdę. Około dziesiątéj godziny bądź gotów, a teraz dobranoc! Capstrzyk podobno bębnią, a u nas zaraz potém apel bywa.”

Jeszcze raz ułan, czwartak i grenadjer żegnając się ze mną, każdy szepnął do ucha:

— Ej! do nas bracie do nas” i poszli, wypiwszy piętnaście butelek piwa i zjadłszy kilka funtów sera i kilka tuzinów bułek, za com z dziesięć złotych zapłacił. Alem też zrobił znajomość i już mi jakoś lżéj było na sercu, bom się nie czuł samym w Warszawie, co było dla mnie najokropniejszém.

Nazajutrz około dziesiątéj rano, stawił się wiernie mój nowy przyjaciel grenadjer, a wypiwszy parę kieliszków wódki i przekąsiwszy nieco, poprowadził z sobą. Po rogach ulic dotykających Saskiego placu stali już żandarmi na koniach, pilnując porządku i broniąc przejazdu powozom. Na placu zaś otoczonym barykadami, czekały w pełnéj paradzie oddziały deflilowe, których koleją dostarczały pułki gwardji konnéj i pieszéj, czwartego pułku linjowego, niemniéj pułk kawalerji linjowéj, pełniący służbę garnizonową.

Ujrzawszy na raz tyle zgromadzonego wojska tak ślicznego, tak pysznie wyglądającego, tylu jenerałów i oficerów w świetnych i błyszczących od złota i srebra uniformach; te bogate szlify, kordony i akselbanty, te pióra powiewające jak fale na kapeluszach, choć jeszcze z miejsca się nie ruszyli, osłupiałem prawdziwie...

Po zameldowaniu się posełek konnych, których zręczność w toczeniu końmi i śliczna postawa a szczególniéj ułanów, z ich furczącemi białemi z amarantowym chorągiewkami nadewszystko mi się podobała, zaczęły następnie defilować jeden po drugim oddziały gwardji pieszéj, a potém linjowe, w takt według ślicznéj wojskowéj muzyki, naprzód krokiem paradnym zwyczajnym, potém podwójnym a w końcu jakby do ataku, biegiem. We wszystkich tych odmiennych ruchach każdy szereg wydawał się jedną najrówniéj wyciągniętą liniją. Nogi, piersi, bagnety i pióra na kaszkietach, ani jednym strychem nie odłączały się od całości, cały szereg wydawał się być tylko jednym człowiekiem, a do tego co za postawa co za ludzie! Prawdziwie jak to mówią chłop w chłopa a na nich mundury, pakunek i wszelkie przybory jakby w jednéj formie ulane. Do tego dodać należy, tę jakąś godność i pewność siebie malującą się na każdéj postawie. Mój towarzysz który mi wszystko tłumaczył, szepnął:

— „A co nasze grenadjery? patrz jak defilują, co za śliczny żołnierz! uważ tylko jak się równają, co za postawa! to mi to wyrobienie! Prawda że to najpiękniejszy żołnierz?

— „Oj! prawda, rzekłem roztargniony i wlepiłem oczy zdziwione w hufiec piérwszego pułku ułanów, który wyciągniętym kłusem właśnie koło nas przejeżdżał. Skoro się pluton sformował, z ogromnym brzuchem dowódzca ułanów Tomicki, istotna ironja lekkiéj kawalerji zakomenderował:

— Do defilowania! galopem!

Muzyka zagrała galopadę i niewidziane dziwy ujrzałem. Koń w konia jak Fanny Elsner albo Taglioni z gracją, z lekkością, nie dotykając prawie ziemi, z ułożoną minką jakby zgrabnéj baletniczki, równając się przytem w szeregach, najdokładniéj puszcza się galopa. O jezdzcach nic nie

wspomnę, bo mi się nie ludźmi tego świata wydawali, lecz w rozgrzanéj wyobraźni zdało mi się mieć przed oczyma, jakąś falangę nadziemską. I znowu przyszedł mi do myśli Wasilewski, stary wczoraj poznany wachmistrz, ich zachęty i pochwały, które że wcale nie były przesadzonemi anim na chwilę już w ówczas nie wątpił. Nawet budowałem się nad ich skromnością. Nie dziw tedy, że wyszły mi z pamięci grenadjery, choć jednego koło siebie miałem, bo w téj uroczystéj chwili poślubiłem dozgonną wiarę ułanom.

Wtém trąbka dała sygnał! Cały pluton schyla lancą w pół ucha końskiego i z krzykiem hurra! puszcza się do ataku. Za podwójnym znakiem, konie zaryły tylnemi kopytami ziemię i jak dwa wyciągnięte sznury, pluton cały najspokojniéj zatrzymywał się a lance wróciły na swoje miejsce. Cichość najuroczystsza panowała w szeregach, tylko było słychać parskanie niechętnie powstrzymanych biegunów.

Skończyła się parada, oddziały zaczęły się rozchodzić do koszar i na warty, ja zaś oczami długo odprowadzałem ułanów, a gdy ostatnia chorągiewka mignęła i schowała się na zakręcie ulicy, wróciłem zadumany z moim towarzyszem do stancji.

Popołudnie zeszło wesoło, przyszedł wachmistrz z kilkoma ułanami, a kiedy wieczorem wierny grenadjer przyszedł, zastał mnie pogrążonego w myślach i nader głęboko zadumanego. Wszystko bowiem com widział, tak mi się pomąciło i pokrzyżowało w głowie, żem sobie sprawy zdać nie umiał z zamiarów, z życzeń, nawet z upodobań w téj chwili. Do konnicy skłonność mnie nęciła, za piechotą rozsądek szeptał, a tymczasem ani do tych, ani do owych nie wiedziałem jak się dostać, bom nie miał żadnéj znajomości. Bez pieniędzy do tego, cóż począć cudzemu między cudzemi? Gdym moje kłopoty powierzył grenadjerowi, ten zamiast nademną się ulitować rzekł:

— „Fryc z ciebie bracie, kiedy się o takie bagatele turbujesz. Dziś nocujesz u nas w koszarach, wprowadzam cię tam jako mego krewnego, który się do nas pragnie zaciągnąć. Mam na to pozwolenie od służbowego oficera. Co zaś do pieniędzy? furda! a to co? nie twójże to tłomok z pościelą i z sukniami cywilnemi?

— „No co i cóż ztąd że mój? zapytałem.

— „Ba! to gotówka koleżko, brzęcząca gotówka. Spuść się tylko na mnie, bo co tobie po tych gratach, skoro ci dadzą jutro mundur i wszystko co żołnierzowi przynależy? Chcesz to zaraz przerobiemy to na ruble, i lepiéj dziś jak jutro, bo i po cóż to z sobą włóczyć albo komu powierzać? Kto ma pieniądze ma wszystko.”

Ha! pomyślałem sobie, może on ma i słuszność? Bo co żołnierzowi po frakach, surdutach, pościeli, tłomokach? Rozjaśniło mi się więc w głowie, uściskałem mego dowcipnego mentora prosząc aby mi do sprzedaży dopomógł. W kilka chwil potém usłużni handlarze, unieśli moje wszystko z sobą, zostawiwszy mi w zamian dziesięć rubelków, wytarty fraczek i resztę letnio-jesiennego ubioru który miałem na sobie. Grenadjer nie mógł się nanosić nad mojem szczęściem, bo jak twierdził to wszystko sześciu rubli nie było warte. Mnie się w prawdzie przeciwnie zdawało, ależ mogłem znać wartość rzeczy moich w Warszawie? Cieszyłem się więc również, a mianowicie z tego że znowu miałem pieniądze.

(d. c. n.)

---

* * *

Powiadają że słotna, chłodna i wietrzna pora czasu, mocząca z góry, wiejąca z dołu, a wyjąca z boków przeróżnemi tonami, niekorzystnie oddziaływa na moralne usposobienie człowieka robiąc go kwaśnym, zrzędnym, tetrycznym, piołunowym, ckliwym i rozgrymaszonym, słowem nieznośnym... jak stary kawaler albo stary kalosz spadający z nogi, lub wreszcie wiecheć bo to na jedno wychodzi, tamujący przejście i na próżno zalegający miejsce. Znajdując się w tak octowém usposobieniu, korzystając ze słotnéj pory, od pewnego czasu, trzymającéj na uwięzi swobodnie przedtem hulające po Warszawie tumany pyłu, poddaję się pod jéj prawa czy rzeczywiste czy wymarzone, i jeźli Was znudzę nie dziwcie się i nie łajcie, że patrząc z kwasem na wszystko, kwaśną Was uczęstuję rozmową. Od lat kilku woda sodowo gazowa, jak wiadomo wszystkim, szczególne znalazła upowszechnienie.

Zdrowy to i miły napój; spekulacja więc korzystając sprzedaż jéj tak rozszerzyła, że dziś nie ma sklepu prawie, cukierni, kawiarni, restauracji, kramu, nawet większego straganu, w którychby między lalkami i tabaką, musztardą i szuwaksem, rodzenkami i pieprzem, konfiturami i chlebem razowym, nie znalazł i wody sodowéj. Są nawet sklepy i miejsca wyłącznie sprzedaży jéj poświęcone, są i takie w których oprócz nazwy prawie się niczém nie różni od zwyczajnéj studziennéj albo wiślanéj wody: pomiędzy jednak wszystkiemi najpiérwsze miejsce trzyma bez zaprzeczenia,

sprzedawana w Instytucie wód mineralnych w Saskim ogrodzie, przewyższająca wszystkie smakiem, zimnem i ilością znajdującego się w niéj gazu. Dlaczego jednak mały jéj kufelek kosztuje aż pięć groszy, kiedy kwarta zwyczajnego piwa płaci się groszy siedm, a kufelek bawara dwa razy większy groszy dziewięć, zupełną jest dla mnie tajemnicą. Wszakże materjał z którego wyrabia się woda sodowa i przyrządy fabryczne potrzebne do jéj przyspasabiania, daleko mniéj kosztują od słodu jęczmiennego, chmielu, budowli browarnych, z użytego opału przy fabrykacji i kosztów pracy samego wyrobu piwa? Mimo tego, woda sodowa przeszło cztery razy jest droższą od zwyczajnego piwa, a tyle prawie kosztuje co bawarskie opłacające nadto nie mały podatek. Pięć groszy więc za kufelek wody sodowéj w Saskim ogrodzie, jest prostem zdzierstwem, tym przykrzejszem, że Instytut wyborne robi interessa biorąc tygodniowo od jednéj osoby za picie wód sztucznie wyrobionych od Złp. 16 do 24, gdy w aptece butelka podobnéj wody, zwykła porcja dniowa kosztuje około czterdziestu groszy. W prawdzie opłaciwszy podobny haracz, można sobie bryknąć i palnąć nawet pół kopy kufelków, ale choć skłonni dosyć do zbytku, wątpię aby się znalazł podobny amator na wody mineralne; wreszcie za jednego na tysiąc z podobnym apetytem, dla czegóż wszyscy mają płacić? Czyżby więc nie było właściwie i sprawiedliwie, wody mineralne sprzedawać na kubki, i za każdą porcją oddawać bilet w przód zapłacony w kancelarji Instytutu?

O owocarni węgierskiéj otworzonéj w Saskim ogrodzie, powiewającéj banderą i namiotowym dachem, nic Wam nie wspomnę, bo jeszcze jako nie w porze owocowéj, nie mogła rozwinąć wszystkich zasobów skrzętności i spodziewanéj obfitości. W przechodzie więc spoglądam tylko z uszanowaniem na małe przetaczki z czereśniami z koralowym uśmiechem wabiące do siebie smakoszów, utytułowane jakiemiś dziwnemi cudzoziemskiemi nazwami, wykrzywiającemi usta zarówno przy wymawianiu, jak i płaceniu za te drogocenne nabytki przemysłu zagranicznego.

Ale kwestję owocową, jako oklepaną, opisaną, ogadaną, a więc strasznie niestrawną, w tym gawędowym traktamencie nie będę Was więcéj zajmować. Jeżelić bowiem ludom podległym berłu Austrji wolno za tytoń, cygara i tabakę, opłacać rocznie do skarbu 656 miljonów złotych polskich, dlaczegóżby nam nie wolno było jeść owoców zagranicznych i płacić za nie grube pieniądze, przecież u bogaczy zbytek jest koniecznością. Nad tematem tym zastanawiając się przypadkiem rzuciłem oczami na ogłoszenia zamieszczane w gazetach, i uśmiałem się z szarlatanerji i... z nierozumu ludzkiego.

Jeden np. z fabrykantów poleca Szan. Publiczności własnego wynalazku *crême* doprowadzający płeć do *młodocianéj białości*: płyn do *rozrośnięcia się włosów na głowie*: pomadę utrzymującą włosy *w obfitości*.

Jakaś pani ogłasza fortepjan do wynajęcia, żądając miesięcznie tylko złotych osiem a to *z przyczyny że go trzeba nastroić*. Bona znowu niemka szuka miejsca u państwa *wysokiego stanu*, nieobjaśniając dla czego ludzie *niskiego stanu* z jéj łaski wypuszczeni zostali. Widać że zaszczycająca nas jedzeniem polskiego chleba, musi być jakiejś niezwykłéj figury kiedy w spodziewanych obrywkach garderobianych wyraźnie zastrzega sobie państwa z wysokim jak ona zapewne stanem. W innem znowu miejscu, ogłasza się nauczyciel, *znający duch i mechanizm* języka francuzkiego: wreszcie Angielka posiadająca *mocny język*... i pięść zapewne jako przymioty zwykle trzymające się razem.

O polszczyznie, stylu i szyku wyrazów, nic nie wspomnę, nie śmieszące to bowiem ale smucące i dziwiące, że redakcje pism bez poprawy każą rzeczy podobne drukować.

Czasem ogłoszeniami zażarta toczy się walka albo prowadzi miłosna intryga: czasami obejmują tylko przycinki i dogryzki, a czasami lekkie przypomnienie zwrotu przywłaszczonéj rzeczy. Słowem ogłoszenia są polem popisowem dla wszelkich interesów i namiętności ludzkich, których przegląd mógłby ułożyć mozajkę gawędową nader komiczną i charakterystyczną. Kiedyś pomyślę i o tém.

Nakładem Józefa Kaufmana wyszły trzy kompozycje fortepjanowe, jakoto: Nadzieja muzurek przez Maks. Sawickiego. Marsz strzelców i z polska-francuzkim tytułem: *Les pleurs d'une mère*. Płacz matki par Charles Miller i t. d. kompozycje te z pięknych osnute melodji, ułożone łatwo, dla nielubiących łamać się z wielkiemi trudnościami, nader są praktyczne i przystępne. Ale na miłość Boską! na wydawnictwach polskich w kraju odbijanych po co ta nieszczęśliwa francuzczyzna? Czyż *płacz matki* nie brzmi miléj i lepiéj jak jakieś tam chorobliwe *pleury* i *mery?* W polskich zaś napisach zapomniano, że w mowie naszéj nazwiska cudzoziemskie tak samo się przypadkują jak polskie, i nie mówi się: kompozycja ułożona *przez Miller*, nakład *Kaufmann*, ale ułożona przez *Millera*, nakład *Kaufmanna* jako w odpowiedzi za zapytanie przez kogo? i czyj nakład? Z błędami podobnego

rodzaju bardzo często spotkać się można i dlatego czułem się w obowiązku, zwrócić na to uwagę.

Nowości Zagraniczne.

Petit courier des dames. Dziwaczne stroje tegoroczne zbliżają się raczéj do kostiumu niż do zwyczajnego ubrania. Zapisujemy je tu dla tego aby odstręczyć od nich panie cokolwiek z lepszym gustem. Elegantka terazniejsza nosi buty żółte, fijołkowe, zielone albo czerwone, stosownie do koloru spódnicy. Pończochy muszą być takie same, lub w odpowiednią kratę. Spódnica jaskrawa ma u dołu suty garnirunek. Wierzchnia suknia spina się na sprzączki lub ściąga w festony na sznurek. Przytaczamy tu dla osobliwości jedno ubranie, księżnéj Morny, które daje wyobrażenie o panującym złym smaku. Księżna miała dnia jednego na przechadzce spódniczkę białą z czerwonem w szachownicę, wygarnirowaną falbankami. Na to szła suknia biała alpagowa, podniesiona u dołu w festony, obszyta plisą w kratę. Frak z długą baskiną w tyle, obłożony był takąż plisą, pod spód szła czerwona kamizelka, spięta na perłowe guziki. Do tego zegarek z brelokami. Buty czerwone safjanowe z kwastem w pośrodku, pończochy czerwone jedwabne.

Kapelusiki zwane *fanchon*, bez karczka i prawie bez ronda coraz się więcéj upowszechniają, najwięcéj noszą illuzjowych haftowanych słomą, kłosy i kwiatki spadają na warkocz w miejscu karczka.

Do zarzucenia na lato służą rotondy koronkowe, podszyte marseliną lub krepą; kolor szafirowy lub fijołkowy najwłaściwszy na to, jeśli rotonda przeznaczona na przechadzkę.

Paletociki tegoroczne są bardzo krótkie, robią je o trzech szwach wcięte wstanie, i na pół przystające do figury. Czarne jedwabne obszywają pasmanterją, na ramionach, na mankietach, i w miejscu gdzie się stan kończy; u brzega zakończone tylko obrębem. Robią je także z takiego samego materjału jak suknia, z moheru, alpagi i bareżu.

Suknie białe bardzo w tym roku przyjęte. Na chłodniejsze dnie noszą z kaszmiru białego lub alpagi, naszywane u dołu aksamitką albo wstążką; na upał perkalowe, półbatystowe, pikowe i muszlinowe.

Do excentryczności tegorocznéj, należy mięszanina koloru żółtego i czerwonego, trudno sobie wyobrazić coś sprzeczniejszego z dobrym gustem. Wystawmy sobie elegantkę, ubraną w suknię żółtą podniesioną w festony na czerwonéj spódnicy, i okrytą czerwonym burnusikiem, a jednak często się to widzieć daje.

Ozdoby ze słomy używane powszechnie: widziemy je na kapeluszach, na czepkach, okrywkach i sukniach.

Lemonier wyrabia ładne kolczyki z włosów, w formie gronka winogron lub pożyczek. Kolczyki takie bardzo dobrze wyglądają z pod kapelusza, gdyż jak wiemy moda wymaga, aby uszy były odkryte.

Suknie fularowe mają zawsze pierwszeństwo przed innemi. Wiele się daje widzieć gładkich, z ciężkiego fularu *Shangai*. Przybierane są zwykle aksamitką, wstążką lub pasmanterją. Uważaliśmy ładny fular w kratę, w pasy, fijołkowy z czarnym, lub z białym. Młode panienki noszą zwykle spódniczki fularowe, w drobne paseczki na tle białym, do tego białą muszlinową koszulkę, podwleczona wstążką odpowiedniego koloru. Dobrze też ubiera fular popielaty, w rzucik z drobnych kwiatków. Do większego ubrania, suknia biała z cienkiego fularu, naszywana materją, bardzo pięknie wygląda.

Spódniczki wełniane pod suknie zdobią kilkoma falbankami, lub naszyciem z aksamitek najmodniejsze białe z alpagi.

Le conseiller des dames et des demoiselles. Opiszemy tu niektóre ubrania dziecinne odznaczające się prawdziwie dobrym gustem. Garnitur dla chłopczyka składał się z kaftanika czarnego sukiennego, majtek białych dymowych, kamizelki pikowéj z guzikami białemi i krawatki batystowéj z haftowanemi literami w końcach. Do tego należał jeszcze kaszkiecik czarny sukienny. Dla trzyletniego chłopczyka przygotowana była spódniczka *z poil de chèvre* w krateczkę, kaftanik i kamizelka. Kaszkiecik słomkowy ogarnirowany ruszą szafirową ozdobiony skrzydełkiem białem. Dla dwuletniego dziecka ładna była sukienka biała pikowa z dwiema plisami pikowemi koloru *maïs*. Stanik wycięty naszyty takąż bertą i pasek z końcami. Rękawki krótkie bufiaste wszyte w pasek *maïs*. Toczek szkocki z włosia, garnirowany ruszą i ozdobiony piórkiem.

Dla małych dziewczynek powszechnie używane są kolorowe spódniczki z takiemiż szelkami. Miejsce stanika zastępuje biała koszulka z półbatystu,

z muszlinu albo też z białego fularu wełnianego. Okrywki dla nich robią z flanelki w paseczki albo kratkę. Dorosłe osoby noszą najwięcéj paletotów jedwabnych albo z materjału sukni, jak również chustki obszyte gipiurą i chustki z grenadiny. Materje jedwabne wyrabiają w wąziuchne paseczki, w szlaki szkockie na tle gładkim albo w rozmaite desenie koronkowe wrabiane w materją wypukło również na tle gładkim. Z pomiędzy sukien podobała się nam z popielatéj alpagi przybrana na każdym szwie bryta pliską lub rulonem aksamitnym. Z pod rulonu wychodziły z obydwóch stron pukielki aksamitne. Takież ubranie było na rękawach i gładkim staniku.

Journal des jeunes personnes. Młode osoby powszechnie noszą paltociki wcinane do figury i mantylki szalikowe garnirowane ruszami, koronką lub falbanką jedwabną. Płaszczyki i burnusy wełniane w kratę, gładkie lub w paseczki przyjęte są przez starsze kobiety. Na wielkie upały przygotowano burnusy z czarnéj koronki wełnianéj *lama* i z białéj zwanéj *yack*. Koronkę taką biorą także do ozdoby sukien i płaszczyków. Suknie fularowe ciągłéj używają wziętości w rozmaitych kolorach, jest to wyrób lekki i strojny. Na letnie suknie widzieliśmy śliczne bareże, grenadiny, gazy jedwabne i muszliny z drukowanemi szlakami u dołu sukni; jedne desenie formują tunikę, inne piramidy na każdym szwie spódnicy.

Te same dyspozycje napotykamy na cienkich perkalach i żaknotach. Ładne też są piki białe w paseczki i płócienka koloru *maïs*. Małe panienki noszą kaszkieciki z włoskiéj słomy ozdobione piórkiem w osadzie muszlowéj; chłopczyków ubierają w kapelusiki okrągłe z lekko odwiniętemi brzegami przybrane skrzydełkiem.

L'Estafette. Lekkie suknie organtynowe i muszlinowe, najmodniejsze w tym roku, mają zwykle szeroki szlak odpasowany, gładki, który wygląda jak spódniczka pod tuniką; nad tym szlakiem idą zwykle zęby tworzące niby zakończenie tuniki— suknia cała zazwyczaj bywa biała w mniejszy lub większy rzucik szlak u dołu koloru fijołkowego albo hawanna. Stanik ma najczęściéj wyłożone klapki odpasowane, stosownego koloru. Widać także suknie muszlinowe w szerokie pasy albo kratę, inne drukowane w sposób naśladujący pasmanterją, sznury, kwasty, medaljony i t. p.

Materje w pasy używane powszechnie do ubrania strojnego. Pomiędzy stanikami, dwa rodzaje walczą z sobą o pierwszeństwo: naprzód stanik zwany *Empire*, przepasany pasem szerokim blizko na ćwierć łokcia, spiętym na wielką klamrę. Pas ten skróca nadzwyczaj stanik, sięgając prawie do saméj pachy. Rękawy do tego powinny być wąskie, nawet obcisłe, zakończone u ręki, spadającą koronką. Staniki te zcwią się z tąd *Empire*, że je noszono za pierwszego Cesarstwa.

Inny znów stanik także powszechnie używany, ma kształt długiego fraka, z czasów Ludwika XV lub Dyrektorjatu. Naszywają go zwykle na wszystkich szwach bogatą pasmanterją.

Magasin des demoiselles. Kaszkieciki słomkowe przyjęte tylko dla dzieci lub bardzo młodziuchnych panienek.

Na boku przypinają do nich pióro i opasują wstążką z długo spadającemi końcami z tyłu. Równie używane są przez nie toczki okrągłe ozdobione skrzydełkiem i puklami ze wstążki.

Drugi rodzaj kapeluszy okrągłych *Derby* albo *King's charles* mają główkę dosyć wysoką i wązkie brzegi nieco odwinięte w górę. Kapelusze dla dorosłych osób zaczynają przybierać formę czepka, tak są małe i pochylone nad czołem. W ogólności jednak nieprzyjęto jeszcze téj zmiany, widać tylko gdzie niegdzie podobne excentryczności.

M O D Y.

Paryż 18 Czerwca 1864 r.

We wszystkich magazynach Paryzkich, widać fraki i fraczki rozmaitych rozmiarów, w których panie tutejsze zasmakowały nie wiedzieć z jakiego powodu. Moda ta zupełnie dziwaczna, i nie estetyczna, zapisujemy ją dla tego jedynie żeby nas nie obwiniono o niewiadomość, spodziewamy się jednak że polki nie zechcą jéj naśladować. Fraki te robią ze wszystkiego, jedne z czarnéj mantyny, obszyte pasmanterją i koronką, inne z tego samego materjału jak suknia, inne nakoniec z muszlinu lub półbatystu, wygarnirowane walansienką, ozdobione wstążkami. Paski nawet mają z tyłu długie karoczka w kształcie fraczka, nie mówię już o kaftaniczkach postyljońskich, gdyż te z konieczności przedłużone z tyłu. Od nich to zaczęła się ta niegustowna moda, któréj nie podobna rokować długiego powodzenia.

Do drugiego dziwactwa tegorocznego należą kapelusze bez karczka. Modę tę łatwiéj można usprawiedliwić, gdyż przy włosach spuszczonych w siatce, karczek zupełnie nie potrzebny. Nie powiemy jednak żeby ten worek z włosami najczęściéj cudzemi, zawieszony na plecach, miał prawdziwie zdobić kobietę. W ogólności widać

tu jakieś przesilenie, jakąś szczególną dążność do excentryczności, jakieś uganianie się za nowością, słowem zaparcie się wszelkiéj tradycji dobrego smaku, którym Paryż słynął od tylu wieków. Dziś naprzykład z kwiatów najmodniejszy oset; z biżuterji jakieś potworne dziwadła Japońskie, oksydowane lub emaljowane głowy lwów, piesków i innych zwierząt. Na sukniach letnich drukowane owady, chrząszcze, pszczoły, motyle i ptaki naturalnéj wielkości. Obuwie nawet dziwaczne i śmieszne, dość wspomnieć te grube i wysokie buty ze skóry w naturalnym kolorze, w których najpiękniéjsza noga nie pięknie wygląda, chyba w porównaniu z inną jeszcze brzydszą.

Wyliczywszy to wszystko co nie zasługuje na naśladowanie, wspomnijmy teraz kilka ładnych sukien jakie nam wpadły w oczy.

W ogólności suknie a raczéj spódnice z paletocikami powszechnie używane. Noszą je najczęściéj w kolorach mdłych, niewarowym, jasno popielatym w rozmaitych odcieniach, hawanna i t. p. ożywiają nieco, jedwabnem obłożeniem w innym kolorze, lub też ruszami z odmiennego bareżu. Suknie naprzykład popielate ubierają szafirową lub zieloną materją, niewarowe fijołkową, hawanna czarną lub ciemno brązową. Obłożenie to u dołu spódnicy tworzy prostą plisę, podniesioną najczęściéj w słup albo piramidę, na każdym zszyciu bryta. Jeżeli suknia mniéj przezroczysta z gęstego *poil de chèvre* albo alpagi, naszywają dół aksamitką w rozmaite treliaże, jeżeli zaś bareżowa dają u dołu niekiedy podwójną ruszę, w wielkie spiczaste zęby, przynajmniéj dwoma rzędami. Między innemi widziałam taką suknię popielatą, u dołu szły dwa rzędy ruszy jasno szafirowéj w wielkie zęby. Stanik spinał się na guziki szafirowe, pasek zakończony był z boku szarfą, z wąziuchną ruszką szafirową do koła. Rękawy pół otwarte, wązkie, miały takąż ruszkę u ręki i na ramieniu.

Inna znów suknia niewarowa z alpagi, miała u dołu falbaneczkę fałdowaną z fijołkową wypustką; nad tem szły w odstępach ruszki z materji fijołkowéj wystrzygane w maszynie dawane ukośno na krzyż. Skromne to ubranie bardzo ładnie wyglądało.

Niektóre spódniczki do paltotów, mają u dołu wolant nadpowietrzny. W takim razie, koniec spódnicy nad wolantem wycięty w zęby greckie, obszyte wązką czarną pasmanterją albo aksamitką. U spadających na wolant klapek, dana frendzelka czarna sznelowa.

Wolant lekko powinien być przymarszczony, w odstępach pomiędzy klapkami, pod klapkami zaś dany zupełnie gładko. U paletocika takiż sam wolant ale znacznie węższy.

Kapelusze illuzjowe zasiewają całe drobnemi kwiatkami: fuksją, fijołkami, stokrotką, co ładnie i świeżo wygląda. Widziałam jeden bardzo ładny sparterowy, obłożony szlakiem z fijołków; na podpięcie spadał jakby róg chusteczki, złożonéj z samych fijołków naszytych jeden koło drugiego na tiulu. Inny ząb z takichże fijołków, spadający z tyłu od główki zastępował miejsce karczka.

Do okrycia zwróciły uwagę moją wielkie beduiny bareżowe, ogarnirowane falbanką.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z gładkiéj hawanna alpagi. Okrycie korcikowe oszyte sznelową frendzlą. Kapotka jedwabna. — Figura 2. Suknia z popielatéj popeliny, naszyta brązową materją z koroneczką. Mantylka czarna jedwabna ogarnirowana falbanką. Kapelusz z włoskiéj słomy. — Figura 3. Suknia czarna jedwabna naszyta aksamitką. Paltot jedwaby garnirowany koronką. Kapotka krepowa. — Figura 4. Suknia wełniana w kratę. Paltocik koronkowy. Kapelusz słomkowy biały z piórkiem. — Figura 5. Suknia jedwabna koloru hawanna naszyta u dołu wstawkami koronkowemi. Mantylka szalikowa garnirowana koronką. Kapelusz z tiulu jedwabnego. — Figura 6. Suknia z szarego moheru. Paltot frakowy jedwabny. Kapelusz ze słomy belgijskiéj. Parasolka *Wiktorka* średniéj wielkości z wysuwaną rączką. — Figura 7. Suknia z popielatego bareżu. Rotonda jedwabna. Kapelusz węgierski z kitką, ze słomy popielatéj objęty pąsowym aksamitem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 26 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 25 Czerwca 1864 roku.

JAN HALIFAX.

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dokończenie.)

Marja patrzała z radością na dawnego towarzysza zabaw, którego powrotu razem z rodziną wyglądała niecierpliwie. Artur wdzięczny za to odpłacał jéj serdeczném współczuciem.

— Matko, rzekł Janek, wnet nasze pisklęta odlecą z gniazda i zostaniemy znów sami jak niegdyś.

— Mniejsza o to mój Janku, odrzekła Urszula aby tylko Bóg obdarzył ich szczęściem podobném naszemu.... Dawniéj byliśmy sami.... i teraz będziemy znów sami a jednak szczęśliwi, bo wystarczymy sobie.

— Tak kochanko, będziemy zawsze z sobą.

Oboje siedzieli pod rozłożystym klonem, słońce odbłyskiwało w ślubnym pierścieniu Urszuli i padało jak złota aureola, na piękną głowę Janka. Obraz ten odbił się na zawsze w méj pamięci.

Wróciłem do mego pokoju, ale Janek przyszedł niezadługo, wzywając mnie na zwykłą poobiednią przechadzkę. Lubił patrzeć na zachód słońca ze wzgórza panującego nad doliną. Siadaliśmy tam często na murawie, poglądając zdaleka na śliczny obraz rozpostarty przed nami. Z jednéj strony widać było Rose-Cottage, i zdrój w którym pojono liczne trzody, z drugiéj ciągnął się parkan ogrodu naszego, za nim bukowy lasek, a daléj jeszcze skaliste wierzchołki, za które słońce zapadało.

Przechadzaliśmy się krótko, gdyż wieczór nadzwyczaj był skwarny. Usiadłszy obok siebie, rozmawialiśmy o różnych rzeczach, a szczególniéj o Longfield, gdzie trzeba było przybudować przystawę dla wnuków.

— W lecie mówił Janek, dom nasz będzie pełen gwaru i życia, ale za to w zimie, będziemy siedzieć spokojnie przy kominku, i bawić się czytaniem naszych pisarzy, a między niemi twego imiennika Fineasa Fletchera.

— Czy pamiętasz Janku jego sielanki które tak dawniéj lubiłeś?

— Pamiętam je dobrze. Bądź wierny marzeniom twéj młodości, rzekł poeta, poszedłem téż za jego radą.

Życie moje było szczęśliwe Bogu dzięki, i to szczęśliwe takiem szczęściem, jakiego pragnąłem najmocniéj.

Mówiąc to, Janek poglądał na słońce które powoli schodziło z widnokręgu.

— Czy pamiętasz dodał, jak lubiliśmy niegdyś leżąc na murawie w ogrodzie ojca twego, poglądać na ostatnie słońca promienie, przebijające przez ciemne lipy opactwa? Ciekawy jestem czy nowy właściciel pielęgnuje stary żywopłot?

— Edwin mówił mi właśnie odrzekłem, że stary dom przerabiają na szynk, a w ogrodzie stawiają kręgelnię.

Wstyd, hańba! zawołał Janek, radbym temu przeszkodzić... Lecz nie, dodał po chwili milczenia. Powinniśmy się wszyscy poddać powszechnemu prawu zmiany. Każdy z nas tu zajmuje swoje miejsce, pracuje swój dzień jak robotnik w winnicy pańskiéj, a potém znika jak to słońce z widnokręgu. Nie wiemy tylko gdzie to słońce idzie, gdy tymczasem wiemy gdzie idziemy, każdy zna drogę swoją.... jednę i téż samą dla wszystkich.

Janek mówił jeszcze, kiedy grono młodzieży naszéj, wychodząc z dworku pani Tod witało nas z daleka.

Ludwika rozmawiała z poczciwą kobiétą, która podziwiała piękność jéj dzieci. Edwin mówił z Arturem, niedaleko nich Marja Oldtower piękniejsza niż kiedykolwiek, rwała kwiatki na bukiet dla Ludwisi.

Daléj nieco, dwie osoby idąc powoli obok siebie zdawały się zapominać o świecie.

— Kto wie rzekłem, czy Wiljam i Magdalenka, nie będą najszczęśliwsze z dzieci twoich mój Janku.

Janek uśmiechnął się i popatrzył chwilę, a potém położył się na pochyłości wzgórza, z twarzą obróconą na zachód. Gdy słońce błysnęło mu w same oczy, spuścił na twarz słomkowy kapelusz, ręce złożył na piersi, układając się niby do snu.

Widząc że był zmęczony milczałem, i osłoniłem

go własnym płaszczem, podniósł oczy, uśmiechnął się słodko.

Kiedyś, kiedyś, poznam go po tym uśmiechu. Siedziałem przy nim około pół godziny, patrząc na słońce spadające pomału; którego purpurowa tarcza jasno odbijała na pogodnym błękicie....

Magdalenka i Wiljam szli pod górę zbliżając się ku nam. Dałem znak aby nie obudzili Janka. Usiedli w milczeniu na murawie.

Słońce zapadało za górę, wkrótce połyskało tylko złotym sierpem, potém małą gwiazdą... znikło.

Siedzieliśmy poważni lecz nie smutni, poglądając na zorzę wieczorną, pewni że słońce powstanie jutro w pełnéj chwale.

— Jak się powietrze oziębiło, rzekła Magdalenka, myślę że trzeba obudzić ojca.

Zbliżyła się do niego, położyła rękę na jego ręku. Odskoczyła nagle.

— Ojcze! zawołała przerażona.

Oddaliłem ją, zdjąłem kapelusz z głowy Janka. O! Janka już nie było! powrócił do Pana, któremu służył tak wiernie. Podczas gdy spał, Stwórca powołał go do tronu swego.

Dwaj synowie znieśli ojca na dolinę, położyli go, w dworku pani Tod, w pamiętnym pokoiku na górze. Ja poszedłem do domu uwiadomić Urszulę...

Urszula przyszedłszy nakoniec do siebie, leżała na łóżku blada jak śmierć, lecz spokojna. Zegar uderzył dziesiątą. Zostawiłem ją z dziećmi, czuwającemi przy niéj.

Wyszedłem, udałem się do Rose-Cottage, chcąc sam na sam pozostać chwilę z tym, którego miałem niedługo ujrzéć, lecz nie na téj już ziemi.

— Niedługo, tak niedługo, pocieszałem się témi słowy. Zdało mi się że słyszę jak Janek je powtarza, Janek odmienny od tego, którego widziałem przed sobą. O jakże ten był piękny! śmierć naznaczyła jego oblicze wyrazem nadziemskiego spokoju. Zdawał się młodszy o jakie lat dwadzieścia.

— Żegnam cię Janku, bracie mój drogi! żegnam cię na krótko!

Podczas gdy się przyglądałem tém słodkiém rysom i ustom zaciśniętém, dostrzegając w nich dziwne podobieństwo z rysami Murjelki, którą widziałem, śpiącą tymże samym snem, na téjże poduszce, ktoś dotknął ręki mojéj!

Była to Urszula.

Jak ona przyszła? Jak się ustrzegła bacznego oka dzieci? tego nie wiem. Jakim sposobem ona, która od tylu tygodni, nie postąpiła dwóch kroków, mogła przyjść tu sama jedna wśród ciemnéj nocy? Zkąd wzięła tę moc nadprzyrodzoną, że stała nieruchoma, spokojna, w obec martwych zwłoków męża swego.

— O tak! to on rzekła słodkim i cichym głosem.

Wstałem, usiadła u wezgłowia. Pozostaliśmy długo w milczeniu.

— Zdaje mi się że słyszę kogoś za drzwiami. Bracie, wprowadź tu dzieci.

Artur wszedł, ukląkł przed matką, i zaklinał aby mu pozwoliła odprowadzić się do domu.

— Natychmiast synu drogi.... alež ojciec, twój.... Chodźcie dzieci, patrzcie na ojca.

Dzieci przystąpiły do niéj z głośnym płaczem. Ani jedna łza nie spadła z oka matki.

— Byłam młodą dziewczynką, rzekła, młodszą niż każde z was, kiedym ujrzała ojca waszego po raz piérwszy. W przyszłym miesiącu skończy się trzydzieści trzy lata, od chwili jak jesteśmy zaślubieni. Tak trzydzieści trzy lata!

I zamyśliła się, znać wyobraźnia przeniosła ją w dawno ubiegłe czasy; dotknęła mimowoli ręką ślubnéj obrączki na palcu.

— Dzieci, my byliśmy tak szczęśliwi. On był tak dobry! tak mnie kochał! On mnie czynił coraz lepszą i dla tego tak go kochałam. O! jakaż była moc jego przywiązania! On był moją siłą, moją nadzieją, pociechą, i wsparciem w nieszczęściu, moją radością w pomyślności. Jakże moje życie szczęśliwe z nim było i zupełne! jakżem ja wzrosła w oczach własnych, kiedy mnie wybrał za towarzyszkę swoją.

O! dzieci moje, nikt nie wie, jak wielką była wzajemna miłość nasza, oprócz Tego który nas stworzył, i przeznaczył wzajem dla siebie.

Głos jéj coraz był słabszy, zatrzymała się chwilę, potém rzekła z wyrazem macierzyńskiéj miłości.

Arturze! Edwinie, i wy wszyscy nie zapominajcie nigdy ojca; postępujcie według jego woli, żyjcie tak jak on. Strzeżcie się wszelkiego czynu, którego by ojciec wasz nie pochwalił.

Uścisnęła po kolei trzech synów i córkę, spojrzała w koło siebie jakby szukała jeszcze jednego dziecka, i rzekła z uśmiechem.

— Jakże ojciec szczęśliwy i on widzi już swoją Murjelkę.

— Matko, droga matko, chodź do domu, wołał Artur z płaczem.

Matka pochyliła się, pocałowała go powtórnie i rzekła.

— Zaraz zaraz mój synu. Odejdźcie teraz wszyscy, pragnę zostać na chwilę z mężem sama jedna.

Gdyśmy wychodzili, obróciła głowę ku niemu.

— Janku mój Janku! zawołała słodkim głosem, jak znużone dziecię, tulące się pod skrzydła macierzyńskiéj opieki.

Zamknęliśmy drzwi za sobą, usiedliśmy na wschodach. Głęboka cisza panowała do koła. Nikt się nie poruszył, ani odezwał.

Na koniec Artur wszedł do pokoju.

Urszula siedziała jeszcze wsparta u wezgłowia; tak samo jakieśmy ją zostawili. Jedną ręką objęła głowę Janka, twarz przytuliła do jego twarzy.

Zdawało się jakby spali oboje.

— Matko! zawołała Magdalenka, lecz matka nie odpowiedziała jéj wcale.

Artur podniósł ją z uczuciem, oparł na własném ramieniu drogą matkę nieszczęśliwą wdowę, któréj miał być jedynym na ziemi opiekunem.

Nie, dzięki Bogu! Ona nie była już wdową i wraz z ukochanym Jankiem stanęła przed obliczem Wszechmocnego, aby wymodlić szczęście dla dziatek i rodzinnéj ziemi. Od téj chwili zostałem samotny jak dąb w pustyni, ocieniający latorośle nie z jego wyrosłe korzeni.... ale Bóg tak chciał niech będzie imię Jego pochwalone.

KONIEC.



1 Collet Feroza 2 Mantelet Villemer 3 Casaque Lara 4 Basquine Figarina 5 Echarpe Mirielle 6 Habit Louis XV 7 Rotonde Faustine.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie